

## GERARD GÓRNICKI

## Dom na skarpie

## I

Matejowa nie kładła się spać, leżała na łóżku na pół drzemiąc. Nagle uniosła się, przysłyszało się jej, że ktoś puka do okna. Zaparła dech w piersiach, oczekiwała znajomego głosu.

Szaruga jesienna nadciągnęła wcześniej czarną, matową powłoką na rokitnicką kotlinę. Dach chałupy trzeszczał przeciągle, z przerwami. Poklapująca papa tarosiła gontami.

Wyszła na środek izby, skręciła światło naftowej lampy stojącej na okapie kuchni. Smuga sadzy wyciągnęła się i osiadła na pomarszczonej powale szerniałym kręgiem.

Matejowa przytknęła twarz do szyby i wytrzeszczyła oczy, pragnąc dojrzeć coś w mroku. Zwodzona hałaśliwym ujadaniem wichru uparcie wstawiała kilkakrotnie w ciągu wieczora, przykręcała lampę, wyglądała na podwórze. Twarz miała jasną, oczy czarne spokojne. Krucze włosy, spięte w strzępiasty warkocz, czyniły ją młodą, urodziwą.

Od silnego, pospiesznego uderzenia w szybę zerwała się znowu na równe nogi.

- Kto tam? - zapytała głośno, choć wiedziała, że może to być tylko Michał.

- Otwórz, Stefka - dosłyszała szept.

Przez otwarte drzwi buchnęło chłodem, wiatr wdzierał się szparami przedsionka do kuchni i dalej, do drugiej izby. Przygaszał do ciemności płomień lampy.

Michał Mateja, góral, chłop barczysty, wysoki, w kurtce przepasanej rzemieniem, nie pasował do małych drzwi i niskiego pułapu izby.

Schylił się w progu, wszedł żywo, był rozrzutny w ruchach. Objął żonę w pół mocno, jakby chciał przełamać jej jędrne ciało. Przywarli do siebie, wyprężyli się. Zimno obchodziło bokiem sterczących na środku izby.

Michał szarpnął worek przywiązany na plecach, rozkraczył się i zrzucił

ciężar na ławkę pod piec.

Jest trochę ziarna ze wsi. Trzeba będzie zemleć na żarnach - rzekł niepewnie, widać zmęczony, nie kwapił się do roboty.

- Mąki nie mam, to prawda, a jutro niedziela. Pomogę ci - zachęcała Matejowa męża. Spojrzała przelotnie w jego szeroką, rozognioną od wichru twarz. Wysokie czoło i garb nosa połyskiwały mu od wilgoci potu. Siadł przy stole od okna, wyciągnął przed siebie wygodnie ręce, poczerwieniałe, o grubych palcach, Żar nie wygasłego pod blachą ognia parł z boku.

Matejowa krzątając się przy kuchni skupiła myśli nie wiedząc, o co wpierw zagadać. Nazbierało się spraw wiele, ważnych i drobiazgów.

Milczeli. Mateja jadł barszcz szybko, jak człowiek zgłodniały i pochlipywał. Zaspokoiwszy pierwszy głód przerwał jedzenie. Poczł gorąco w całym ciele, zdjął bluzę lepłą od kleju i zeszywniałą od farb, z poszarpanymi rękawami. Rozglądał się po izbie, rozpytywał, co dzieje się w mieście, o zdrowie dzieci.

- Andrzej jak to chłopak.

- Dokazuje, znaczy, że zdrowy.

- Dokazuje - przytaknęła Matejowa. - Kasia poważnie, niechby skończyła już w tym roku szkołę i poszła na zarobek.

- Zobaczymy. Dziecka tak zaraz na poniewierkę nie dam. Nienajgorši my w mieście, żeby ją na służbę posyłać - rzekł z lekką irytacją Mateja, po namyśle dodał: - Trzeba dziewczęciu jaki fach dać do ręki.

Zamilkli. Dzieci spały zapamiętale. Mateja wodził oczyma za żoną, badał, czy nie uroniła nic ze swej zwinności i nie stała mu się obca przez ten czas, kiedy był za domem.

Roboty stolarskie przy remoncie szkoły wiejskiej skończył szczęśliwie, po pieniądze pójdzie jutro, w niedzielę, do majstra Woźniaka.

Dużo tam tego grosza będzie? - zapytała zaciekawiona Matejowa. - Wydatków przed zimą dużo, sam wiesz.

- Jest wydatków, jest. Dorobię w mieście, już w swoim warsztacie. Lada dzień stanę w cechu do egzaminu mistrzowskiego, chodziłem za tym. Cechmistrz Zamorski przyrzekł mi sprawę przyspieszyć - rzekł Mateja z uśmiechem.

- Mówisz tak od lata, a dajesz się jeszcze wykorzystywać. Już od miesięcy powinieś być na swoim, Masz trochę narzędzi, co więcej ci trza?

- To prawda, ale już niedługo tego.

- Bo serce mnie boli, jak patrzę na ciebie, że się musisz upokarzać.

- Niby czym? - zdziwił się Mateja.

- Nie nosisz wody Woźniakowej? Nosisz, podłogę szorujesz, jakbyś nie miał własnego domu. A ja sama muszę harować. Bądź co bądź mężem żonie, ojcem dzieciom jesteś - rzekła Matejowa z żalem.

Siedząc obok, wpatrzyła się w drgające mięśnie twarzy Michała. Spotkali się przelotnie oczyma, Matejowa patrząc w przybladłe, niebieskie źrenice męża, powątpiewała, czy są to te same śmiałe oczy, którym była posłuszna już tyle lat.

- Jestem u Woźniaka za czeladnika, a takie już prawo z tym usługiwaniem majstrowej - mówił to nie pierwszy raz w życiu.

Sposępniał, uniósł się w duchu ze złością na swój los. Przewlekało się terminowanie w rzemiośle. Życie potykało się jak niedołęga włóczący się po drogach. A było to i przez cesarza Józefa Franciszka. Rozpoczął wojnę z Serbami i kazano Michałowi maszerować z *gwerem hin und her*. Po jaką cholere? Ranny pod Przemyślem długo nosił pod żebrzem nieprzyjacielską kulę, po wojnie najmował się jako sezonowy, do każdej roboty był przydatny. A przy tym Matejowie pobrali się młodo, jak bywa to zwyczajnie między samotnymi sierotami.

- Żeby nie majster, to już bym był na swoim odezwał się Mateja i zacisnął pięści. Brak mu było często siły przy robocie. Woźniak ociągał się ze zwolnieniem go z terminu, obliczał w kalendarzu. Mateja spodziewał się zwolnienia przed nastaniem jesieni i wymawiał majstrowi swoją krzywdę, długie i ciężkie terminowanie, Woźniak trzymał go przy swoim warsztacie uparcie, aby jak najdłużej, a potem wysyłał go na robociznę do pobliskich wsi.

- Już więcej moja noga...

- Nie zaklinaj się - przerwała Matejowa - on cię ma w swoich rękach. Nie mów!

Urwali rozmowę, wstali od stołu jak niesyci, stawiając zgryzotę w sercach.

## II

Rokitnica, małopolska miejscina podgórska, została zdegradowana jeszcze w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku z roli siedziby powiatu. Życie rokitniczan przestało pulsować, ucichło jak rzeka, która powróciła po burzliwym wylewie w wąskie koryto. Podnoszono tylko kłótnie przy

wyborach do rady, piniaczono się o granice gruntów, spierano o zarobek, o miejsce w ławkach przed głównym ołtarzem w kościele.

Od Nowego Roku Mateja był już samodzielnym majstrem, poczuł się pewniejszy. W kościele wysuwał się na przednie miejsce, nosił świecę z cechowymi podczas procesji. Przywdziewał w powszednie dni. odświętną bluzę, wystawał na rynku, bratał się z mieszczanami, a roboty nie było, jakby się pod ziemię zapadła. Wpraszał się więc na zarobek do innych majstrów, wtedy krew uderzała mu do głowy, odczuwał dziwny ból w piersiach. Skrycie i rzadko zaglądał do swojego warsztatu, bo izba w suterrenach budynku pocztowego była lodowato zimna. Otulał się w niej wiórami, drapiącymi twarz i ręce, zasypiał znękany i budził się późno wieczorem.

Z wiosną roboty było więcej, nadzieja wstąpiła w serca Matejów, poweseleli.

Ciepłe dni nastrajały ludzi radośniej. Przybladli od zimy, wychodzili rokitniczanie mrowiem z domów.

Reszta śniegu pod lasami rozpułyła się w wilgoci ziemi, zginęła.

W niedzielne popołudnie można było widzieć, jak wysoki, pochylony sędzia, dwaj adwokaci - obaj łysi i przez to podobni do siebie, bo natury mieli inne - w towarzystwie filigranowego aptekarza i swoich żon, skapiąc w rozmowie słów, przechadzali się majestatycznie środkiem głównej ulicy, nie wychodząc poza rogatki miasta. Miejscowi lekarze, obaj młodzi, dorodni, jakby zmówili się, żyli z kochankami i nie wychodzili do towarzyskich rozmów. Dawali swobodę namiętnemu plotkarstwu.

Na drogach za miastem wałęsali się mieszczanie. Józef Woźniak wyrastał ponad innych, miał na głowie konfederatkę, żupana nie dopinał na obszyte guziki, targał mięsiste pętle i głośno rozmawiał. Tradycyjny strój dodawał mu uroku i powagi. W dyspucie górował nad poważnym Zamorskim, starszym cechu stolarzy, nad Kubusińskim, małym jak karzeł człowiekiem.

Biedota wylegiwała się do słońca pod ruderami nad torem kolejowym.

Miejscowy proboszcz, Kwiatek, prałat o potężnej tuszy, nie wychodził poza plebanię. Na tarasie w ogrodzie rozważał z Koniecznym, burmistrzem miasta, jaką nową inwestycję wprowadzić w kościele i jak wysoko opodatkować na ten cel parafian. Ksiądz wpływał na głowę miasta w sprawach publicznych, o czym powszechnie mówiono.

Mateja wrócił tego dnia dopiero pod wieczór do domu, ale uradowany. Począł w podnieceniu opowiadać żonie, jak doszło do tego, że rzeźnik Kocurek, budujący kamienicę przy głównej ulicy, zawarł z nim umowę o

położenie parkietowych podłóg w czterech pokojach.

- A było to tak. Kocurek powiada: „Dam robotę temu, kto będzie tańszy. Woźniak stawia wygórowaną cenę”. Zgodziłem się na dwa złote od ułożenia metra kwadratowego parkietu. Woźniak chciał trzy złote, dobry z niego kalkulator.

- Przeczuwałam, że przyjdzie dla nas lepszy czas, miałam dobry sen.

- Po Wielkanocy robota ruszy, trza przygotować materiał - rzekł Mateja z rozważą,

Widzisz, Michał, mówiłam ci, że niepotrzebnie się martwisz.

- Martwić, to się martwiłem. Głowa jest zresztą od tego. - Po chwili znowu rzekł, jakby się chciał upewnić: Wreszcie zaczynam majsterską robotę! - Zatarł ręce, cieszył się po dziecinnemu.

Tego dnia Matejowie zjedli obfitą kolację. Rozmawiali spokojnie, powściągliwie. Siedzieli długo w noc przy stole.

### III

Prostokątne parkiety cieszyły oczy, Były białe, niektóre tylko przyczerniały, ale ze zdrowego drzewa. Wyglądały niby tłum ludzi o rozmaitych rysach twarzy. Mateja pochłonięty pracą nie odczuwał zmęczenia, przeżywał samodzielną robotę jak miłość. Rozpierała go chęć pochwalenia ludźmi. Piasek ugłaskany równo ginał za zębatymi krawędziami układanej podłogi. Zapach cegły, wapna i drewna odurzał. Michał co jakiś czas wstawał z klęczek, prostował grzbiet i pociągał nosem, jakby był w rozpachniałym lesie. Słońce przeciskało się między dachami domów.

Przystawiając deskę do deski liczył zarobione pieniądze. Wydatki same przychodziły do głowy. Bedzie też na kolorową chustkę dla Stefki, na korale dla Kasi.

Na ulicy pod balkonem bez poręczy było gorąco, bezgwarnie. Czasem przejechała furmanka - gościniec był pochyły, biegł od rynku w dół ku stacji - koła zaturkotały na wybojach. Znowu ucichło.

Mateja oczekiwał, kiedy z wieży kościelnej spadnie na miasto dźwięk dzwonu na południe. Chciało się jeść przy robocie. Od uderzenia młotka głucho dudniło, echo odbijało się o przeciwległe ściany kamienic i nie wracało. Spadało gdzieś na bruk, wprost na głowę przechodniom. Zwabiło

majstra Woźniaka, obudziło w nim niewygasłą niechęć do niedawnego czeladnika, Wychodząc ze składu farb, spoglądał ku górze świeżo otynkowanej kamienicy. Z niechęcią pomyślał o zatargu z Kocurkiem. Spodziewał się, że rzeźnik ustąpi i pozbędzie się szybko Matei, który roboty przy parkietach nigdy nie wykonywał. Nie zdradzał przecież czeladnikom wielu tajemnic rzemiosła.

„Dać sobie zarobek tak sprzed nosa sprzątnąć, i to komu - Matei!” wyrzucał w końcu sobie samemu.

Zasapał się wchodząc na drugie piętro. Mruknął jakieś pozdrowienie i stanął we framudze z rozkraczonymi nogami. Fachowym okiem ocenił w lot robotę. Spod ręki Matei wychodziła sztuka mistrzowska, Woźniak zachłysnął się podziwem. Wyprowadzony tym z równowagi odezwał się:

- Robota nienajgorsza.

Ręce wsadził w kieszenie, czapkę zsunął na tył głowy i począł chodzić dla próby po skrzypiącej podłodze. W jego wysokich, lustrzanych od czernidła cholewach przeglądały się parkiety.

Michał zerknął na niego bokiem, po chwili bąknął z wyrzutem, jakby przypomniał sobie uwagę majstra:

- Nie od was uczyłem się tego,

Nie unosił głowy przełknął ślinę, by nie powiedzieć za wiele. Mruknął tylko coś jeszcze do nieposłusznej deski. Zapadło milczenie, przemówił łoskotem drewniany obuch, krótki trzask zagłuszał myśli. Woźniak palcami pociągnął po podłodze, szukał zadziorków i chropowatości.

- No tak. Słuchajcie, Mateja, macie mój pędzel jeszcze od zimy.

Poczęli rozmawiać w hałasie. Michał po każdym zdaniu walił młotkiem po parkietach coraz mocniej.

- Pędzel pożyczyłem, to prawda, ale oddałem wam przed Gromniczną.

- Jakże to, w warsztacie go nie maml

- Odniosłem do domu, majstrowa odebrała. Podziękowałem.

- Nie ma za co, drobiazg. - Po chwili dodał: - Na tych wypożyczeniach to człowiek tak w końcu wychodzi, że sam nie ma czym do roboty się zabrać.

- Co, nie wierzycie, że oddałem? Już takim żebrakiem nie jestem, żebym bez waszego pędzla nie mógł się obejść! - rzekł Mateja twardo.

- Za złodzieja was nie mam, a co do żebraniny, to przypomnieć wam trza. Zapomnieliście już.

- Nie gadajcie, co wam ślina na język przyniesie! - Wiem, co mówię.

Wziąłem cię jak bękarta spod płotu, wyciągnąłem z nędzy. Wdzięczności to

się człowiek nigdy od takiego nie doczekał - uniósł się Woźniak jak za niedawnych, czeladniczych czasów Michała. Splunął.

- Tylko nie plujcie mi tu pod nos!
  - Nawet plucie cię gniewa - splunął jeszcze raz na parkiet i dodał: - Mogę tylko napluć na tę twoją robotę!
  - Co wy, Woźniak, co?
  - Patrzysz już na mnie jak zbój, ty...
  - Nie przeszkadzajcie w robocie! - prosił groźnie Mateja.
  - Śmiesz mnie, majstra, wyrzucać stąd?! - wybuchnął Woźniak, patrzył złowrogo - to moja robota, mnie się ona należała!
  - Nie wykradłem wam jej. Takiście człowiek i majster jak ja! - przygwoździł Mateja.
  - Nie pyskuj, nie równaj się ze mną, ty prostacka gębo!
- Mateja wstał ociężale, bez pośpiechu. Zbliżył się do Woźniaka. Byli równi wzrostem. Zapatrzyli się w błysk oczu, obdarzali się nienawiścią, pogardą.
- Wyjdźcie, Jezus Maria, wyjdźcie!
  - Ty do mnie tak?! - wrzasnął ochryple Woźniak i chwycił Mateję za koszulę, potrząsnął nim. Widać jednak pożałował tego ruchu, bo puścił zaraz zdrętwiałego od gniewu Michała.
  - Marsz! - krzyknął Mateja pokazując za siebie i zachwiał się od uderzenia Woźniaka. Szarpnęli się, wzięli się za bary. Sapali, tarzali się w prochu po podłodze, darli na sobie koszule. Mateja zwinnie wyrwał się z objęć napastnika. Woźniak bulgotał ze zmęczenia, oczy zaszły mu mgłą. Zamierzył się naraz na Mateję podniesionym młotkiem. Trafił w próżnię, potknął się o próg i runął głową w otwarty balkon. Ściany drgnęły, zaskrzypiał świst obsuwających się z łoskotem desek, wspartych o framugę drzwi. Mateja stracił z oczu zgiętą w pół postać Woźniaka. Doleciał go tępy, głuchy odgłos, jakby ktoś rzucił potężny kamień w głęboką studnię. Wbił palce we włosy oczy wylazły mu boleśnie na wierzch.
  - Jezus Maria! - krzyknął.
- Na betonie balkonu zostały rozrzucone deski. Jedna z nich, nie tracąc równowagi kołysała się leżąc na stercie. Tworzyła ramię krzyża, niby rozpostartego na wielkiej mogile.

## IV

Mateja wszedł do celi potulnie. Spłoszony zgrzytem klucza odwrócił się, wsparł rękę na obitych blachą drzwiach. Były już zamknięte. Popatrzył na kratę, po kątach. Lustrowały go trzy pary oczu.

- Pan majster tutaj, w kryminale? - piskliwie zapytał Hajduk, syn rybaka, niedoszły czeladnik stolarski.

Mateja rozglądał się za miejscem. Milczał.

- Coś się zrobiło „na lewo”? - ruchem ręki zatoczył łuk za siebie Król, syn nosiwody. Trzeciego, równie młodego dryblasa, Mateja nie znał, wyglądał na pastucha ze wsi.

- Za kradzież? zapytał Hajduk.

Ożywili się z zaciekawieniem.

- Nie! - obruszył się Mateja.

- Za rozbój?

- Nie.

- No to za niewinność!

- Za niewinność! - przytaknął Mateja i drgnął, bo aresztanci zaśmiali się głośno.

- Za niewinność! Pan majster żonaty, dzieciaty, niejedną miał już kobietę w życiu i kibluje! - rzekł rozbawiony Hajduk. Basowy śmiech Króla był najgłośniejszy. Mateja ponuro popatrzył chłopcom w skierowane ku niemu oczy. Ucichli.

- Co wy do mnie? - szarpnął się. - Za niewinność Ja go nie zabiłem! - dyszał całą pierś,

Król przeciągle zagwizdał, potem rzekł zdumiony:

- To sprawa poważniejsza. Mokra robota, chłopaki!

- Lepszy z pana ptaszek! - skonstatował Hajduk. Poczęli traktować Mateję obcesowo, bezceremonialnie, tylko waga przestępstwa wzbudzała w nich trochę respektu.

Michał z wynurzeniem opisał wypadek, ściemniło się zupełnie.

- Zatem stan faktyczny sprawy znany - odezwał się ze znanstwem Hajduk. Stażem aresztanckim był najstarszy, odsiadywał nie pierwszy wyrok.

Układając się na pryczy dodał: - O paragrafach pomówimy później, do lata kawał czasu. Sen krzepi, choć wódka lepiej. Dobranoc!

Nastąpiła dla Michała pierwsza więzienna noc.

Za mordercę mnie mają, za mordercę... - szeptał spiekłymi wargami, chodząc z kąta w kąt, Gardził pryczą, jedzeniem, wodę tylko popijał. Później noce i dni przesypiał w gorączce. Tylko w Południe budził go gwar współaresztantów. Wstawał otępiały, wychodził na podwórze i wypatrywał nad murem, okolonym kolczastym drutem, twarzy żony i dzieci. Nie spostrzegał bladych, chudych twarzy podrostków, zmizerowanych bab i chłopów, odsiadujących kary za kradzieże w pańskich lasach, za krwawe bójkę na weselach, za rabunki. Jasność słońca obnażała ich bezlitośnie.

Matejowa wpatrywała się w Michała z muru poprzez druty na wpół obłąkanym wzrokiem, zapamiętywała się w płaczu.

- Ot mój Michale, za co cię męczą niewinnego? - lamentowała.

Ale rozpacz i gniew nie rozsądziły murów.

Śledztwo trwało dwa długie miesiące, nie dowiodło winy Matei i w upalny lipcowy dzień wyszedł na wolność, wprost w objęcia nędzy.

Ludzie odsunęli się od Michała - mieli go za przestępcę.

## V

Było sierpniowe południe. Stłoczony w murach wieży kościelnej głos dzwonu powoli trafiał do świadomości. Mateja siedział zobojętniały na wyniosłych schodach podcieni, pozostałych z dawnych czasów po wschodniej stronie rynku, gdzie mieściły się skromne i cuchnące sklepiki. Dudniła studnia na środku rynku, w metalicznym bajorku przeglądały się gołębie. „Szczęśliwe ptactwo” - pomyślał Michał. Zerwał się, bo beczynne wysiadywanie dokuczało mu i nie wiedząc gdzie iść siadł znowu bezwiednie na kamieniu. Żał też było schodzić z nagranych, bijących żarem słońca schodów. Ciało ciążyło, rażona promieniami twarz kurczyła się, pokrywała spotężniałymi zmarszczkami. Odczuwał nieraz upokorzenie z wysiadywania na oczach ludzi, wyczekiwania na robotę. Wtedy wałęsał się po mieście z innymi wyuczonymi rzemieślnikami, którzy jak i on nie mieli roboty. Zaglądał do zapracowanych majstrów. Gryzła go zazdrość. Wystawał przed sklepami, rozmowy z napotykanymi ludźmi nie kleiły się, wracał więc na schody podcienia.

Zza uniesionych w grymasie żółtawych policzków popatrzył chwilę na cechmistrza Zamorskiego, idącego z rynku ku rzeźni. Nie przemówili do siebie, zaskoczeni nagłym spotkaniem, zażenowani. Zamorski nie poruszał

wargami, Mateja jakby słyszał wydobywający się z głębi własnej piersi wyrzut tamtego: „Zabiłeś człowieka, swojego majstra!”. Zerwał się, chwycił cechmistrza mocno za rękę.

- To nie moja wina! Wierzcie mi, nie potępiajcie! Miejcie serce! - szeptał błagalnie.

- Może i nie twoja w tym wina. No cóż, Woźniak zabrał do grobu ze sobą całą tajemnicę - odezwał się filozoficznie Zamorski i zostawił Mateję na środku drogi. Michał patrzył za odchodzącym jak zamroczony. Poczł w dłoni ciepłotę małej ręki. Kasia szarpnęła go energicznie.

- Ojciec jest pijany - rzekła szorstko. Wpatrywała się w niego dużymi, jasnymi jak lazur nieba oczami. Wydeła mięsiste wargi.

- Co ty, Kasiu, do ojca tak mówisz? - zdziwił się.

- Bo ojciec stoi jak pijany. Myślałam, że stało się co złego - tłumaczyła się zawstydzona, dodała miękkiem głosem: - Niech ojciec idzie do domu, Andrzej płacze. Krew mu się leje z nosa - pociągnęła Mateję za sobą.

- Chodźmy. Skąd tobie przyszło do głowy, że ja pijany? - zapytał.

- Wydawało mi się. O jej, raz to ojciec przyszedł wieczorem do domu pijany. Udawałam, że śpię. Bałam się strasznie i gniewałam na ciebie. Myślałam, że dzisiaj też tak...

- Nieładnie, podglądałaś!

Oboje szli zawstydzeni. Kasia zarumieniła się, pogłaskała ojca po rękę, zmieniła temat rozmowy:

- Spotkałam dzisiaj panią nauczycielkę. Pytała się, co będę robiła. Chciałabym pracować, do szkoły już nie będę chodziła. Prawda?

Skończyłaś siedem klas, więc nie będziesz chodziła.

- Będę zarabiać! - wypaliła.

- Dla takich dziewcząt niełatwo o odpowiednią robotę - perswadował. Westchnął. Napięte nerwy zwolniały, odczuł bezwład w całym ciele. Patrzył przed siebie zmrużonymi oczyma. Szli środkiem ulicy w dół. Lekki wiatr rozgarniał jasne, spłowiałe od słońca włosy dziewczęcia, pod sukienką zdradzał ledwo nabrzmiałe piersi.

Drewniane schody, ułożone kręto na zboczu wyniosłej skarpy prowadziły do domu wśród akacji. Przystanęli oboje obok dołu na śmiecie.

- Pójdę na służbę do apteki, na plebanię, a może do Żydów- rozważała głośno Matejówna.

- Nie pójdziesz! - rzekł stanowczo.

Nie rozumiała dlaczego.

- Pójdę, bo trza pieniędzy na lekarstwo dla Andrzeja śniadą jej twarz powlókł rumieniec.

- Chodźmy! - pociągnął Mateja córkę, jakby ją chciał ratować sam nie pojmując od czego.

Od tego czasu w domu Matejów wzrastał niepokój, rozdrażnienie. Głód podniecał zmysły, niby oliwa dolewana do ognia. Michał wieczorami długo dumał. Coraz to nawracał do powziętej myśli, powtarzał:

- Pojadę w świat, pojadę.

Wywoływał tym grobową ciszę. Tłumił w sobie irytację i żal.

- Gdzie pojedziesz, po co? Zmarnieć chcesz całkiem? - Matejowa przedstawiała całą rzecz po swojemu.

- Co tam gadać, wędruje wielu ludzi, powracają niejedni z uciulanymi groszami. Inni przysyłają do kraju - ocenił Mateja zwięźle sytuację.

- Ciężko zapracowane na obcej służbie. A ilu nie wracał powiedz! Strach pomyśleć!

Michał jadł żur, Matejową radowało nawet to jego pochlipywanie. Zerknęła na męża z ukosa.

- Strach nie strach, przywykł człowiek do włóczęgi na tym świecie.

- Mówię, że niespokojny duch w tobie siedzi.

Obieżyświat z ciebie zatracony.

- Jak tu siedzieć, za nic człowieka mają.

Przyszedł mu znowu na myśl Woźniak, ale nie wspomniał głośno o całym nieszczęściu, Matejowa wierzyła w niewinność Michała, tamtego uważała za złego człowieka.

Dłużące się rozmowy rozdzielały ich wreszcie, przemawiali do siebie zgryźliwie, przemądrzale. Stawali się jak obcy ludzie. Patrzyli groźnie, każde w inną stronę.

- Tak dłużej nie wytrzymam, pojadę i basta, rozumiesz? - po chwili' dodawał z wyrzutem: - Ale ty nie rozumiesz! - Uspokajał się i poczynał milczeć zawzięcie. Wstawał od stołu, siadał na ławie pod piecem, ręce zakładał za plecy, jak kiedyś w szkolnej ławie. Medytował. W mroku wieczora nie było widać jego rozognionych oczu. Matejowa zmywała statki, woda chlupała na glinianą podłogę, naczynia stłoczone w cebrzyku podzwaniały kłótliwie. Spod kuchni wyglądał nikły promień dogasającego ognia.

I w takie wieczory Matejowie coraz częściej szli spać na twarde wyrka nie pogodzeni.

Jednak Mateja nie próżnował, wyjeżdżał do pobliskich miast, przynosił parę

złoty zarobku. Wracał niewyspany, wychudły, ogorzały od słońca i powietrza. Gdzie bywał i co robił - była to jego tajemnica. Matejowa nie pytała, uszczęśliwiona przyniesionym groszem.

Zagadała tylko w którąś niedzielę po nieszpórach przerywając z lękiem Michałowi dumanie.

- Zmarło się dzwonnikowi, może by proboszcz ciebie przyjął na służbę. Ocknął się Mateja od niespodziewanej myśli.
- Gdzie tam - zwątpił od razu.
- Idź, Michał, ucałuj księdza w rękę, poproś - po chwili przypomniawszy mężowi: Do spowiedzi idź, dawno nie byłeś.
- Tam cię akurat dopuszczą do posługi przy ołtarzu. Łacinę trza znać rzekł niezdecydowanie. Począł przypominać sobie w myśli wyrazy obce, zasłyszane w kościele podczas nabożeństwa.
- Ale świece gasić, z tacą chodzić za ofiarą po kościele, to byś umiał. Dzwonić też, powiedz sam - wyliczyła wszystko jednym tchem. Zdziwiła się naraz, że Michał potrafiłby tyle. Przypomniała go sobie z kawalerskich lat, usłużnego, obrotowego, uradowanego wszystkim.
- Może bym i umiał, nie powiem. Pójdę - wypowiedział z nadzieją - może ksiądz przyjmie.
- Pokręcił głową, trudno mu było w to uwierzyć.
- Ufność w dobry los została zdruzgotana. Proboszcz uśmiechnął się, zacytował zawiłą myśl z Ewangelii i odmówił. Przyjął na kościelnego Dubiela, wyrobnika, z protekcji burmistrza miasta. Mateja wrócił do domu rozdrażniony.
- Przeczuwałem, że tak będzie, to już nie ma innego wyjścia. Pojadę.
- Niby za co pojedziesz, jak nie masz grosza w kieszeni? - sięgnęła z ufnością po ostatni argument. Sprzeda się jeszcze coś z domu, z warsztatu. Pożyczę pieniędzy i będzie na drogę.
- Kto ci dzisiaj pożyczycy, zawierzy? Kto? - zaśmiała się,
- Pożyczycy.
- Kto?
- Zdradziłem się przed Urbanem, że chcę wyjechać. Przyrzekł pożyczycy. I skierować do znajomego farmera.
- Który Urban?
- Wacław.
- Ten handlarz byłem? - zapytała zaskoczona. - Porządny człowiek.

Matejowa przerwała nagle cerowanie sukienki. Ręce opadły jej na kolana, zadrżały. Serce zabiło mocno. Przypomniała sobie naraz, jak to Urban, człowiek żonaty, wodził za nią ślipiami bezwstydnie i lubieżnie. Jak zagadywał przymilnie przed kościołem lub na jarmarku.

- Nie może być inaczej, Stefka, nie może. Bóg nam poszczęści, odmieni się los - głos drżał Michałowi. Zawstydział się wzruszenia.

- Lichy ten wasz chłopski rozum. To nie może być inaczej, nie może? - pytała bezsilna. Zapłakała.

## VI

Jarmarki w Rokitnicy przed zimą były tłoczne. Pomruk kupczących ludzi, szeroki, zgęstniały, rozlaźił się w ulice. Zasłyszany z daleka przynaglał baby i chłopów, garnących się do miasta. Dzień był niemęczący, słońce spłowieało. Nie była to już spiekota z czasu żniw.

Matejowa wałęsała się w tłumie, rozpychała tylko ludzi i nic więcej.

Jak spod ziemi wyrósł przed nią listonosz. Podał jej kartkę, uśmiechnął się. Rozdygotanymi rękami ścisnęła mocno widokówkę, zrozumiała, że była to pierwsza wieść od Michała. Ogromny okręt z widocznym białym napisem "Pułaski" ledwo mieścił się na kartce. Załopotalo jej serce z lęku, choć okręt wzbudzał ufność. Uspokoila się, bo Michał pisał serdecznie, z nadzieją. Przeczytała raz jeszcze, jakby uczyła się na pamięć słów. Nie odmawiała zaciekawionym babom, czytała głośno, objaśniając nieznanne im szczegóły wyjazdu męża.

Następne wiadomości z lądu, z wielkiego miasta Chicago były niespokojne, potem rozpaczliwe.

Trafiłem na zły czas. Nikt tu chyba nie zliczy takich jak ja, co wałęsają się bez roboty. Jest nas jak drzew w bukowickich lasach - pisał Mateja z „ziemi obiecanej”.

Tymczasem zima nadeszła szybko, siekła po grzbiecie mrozem niby biczem. Matejowa coraz częściej wyrzucała gorzko samej sobie, że puściła Michała w świat prawie bez zastanowienia, że nie dość odmawiała go od wyjazdu. Pojęła, że powinien zostać, nie zginęliby między swoimi.

Jakoś po Gromniczej przyszedł od niego list gruby, rozsadzający kopertę. Rozpisał się szeroko, przysłał pięciodolarowy banknot. Był to zwiastun dobrego. Chuchnęła w jasną twarz Waszyngtona, szepnęła:

- Na szczęście! Boże, miej Michała w swojej opiece!

Pisał:

*...Dostałem zajęcie w rzeźni, robota paskudna. Po całych dniach człowiek brodzi w wodzie umorusany krwią. Wstydzę się pisać Ci, co ja tu robię. Ludzie wyrywają sobie robotę jak zgłodniałe psy ścierwo. Nie miałem co wybierać, trza było brać, jaka się nawinęła. Za byle jakie pieniądze, aby zarobić i żyć...*

Listy i pieniądze nadchodziły często od Michała. Życie stawało się dostatnie, tylko tęsknota za mężem chwytała ją skurczem za serce. Wtedy nadeszła nieoczekiwana wiadomość: Mateja złamał nogę podczas transportu bekonów. Jest wyczerpany, bez pracy. Z jakąś niepojętą równowagą pisał, że powróci do kraju, oszczędności starczą na szyfkartę.

Długo w noc płakała odpisując:

*Pragnę Twego przyjazdu, boś ty moje szczęście ogromne. Stęskniłam się za Tobą, że pisać o tym nie mogę spokojnie. Ale zastanów się, Michał, przecież już zaczęło nasze życie iść ku lepszemu. I Ty piszesz, że dorobić trzeba się czegoś. Modłę się za Ciebie stale, Bóg da, że wyzdrowiejesz wkrótce. Przetrwaliśmy tyle, to jeszcze z rok przemęczymy. Zostań jeszcze i dla dzieci, jest to nasze poświęcenie.*

Łzy kapały jej na papier, rozmazywały zdania, które potem przykuły Mateję do chicagowskiego bruku. Wszystko odmieniło się naraz, życie zaczynało się, poczęło coraz bardziej przytłaczać Matejową do ziemi. Chodziła bezradna, potem zajęła się chałupnictwem, obszywała wiejskie baby, jarmarczyła. Rozkładała na rynku w dni targowe swój toboł na płachcie, wprost na ziemi: kropiaste katany, pasiaste spódnice, kwieciste bluzki, chustki i barchany na przemian, jak przychodziły pory roku.

Między tłumem spostrzegła raz listonosza, rozgarnęła baby, krzyknęła ponad ich głowami:

- Panie Ludwiku, nie ma tam czego dla mnie?
  - Nie ma! Coś Michał zrobił się ociężały!
  - Nijak, tylko musi mieć wiele kłopotów. Ciężką robotę - rzekła tak, aby ją wszyscy słyszeli. Listonosz spomiędzy straganów zaświdrował oczyma:
  - Musi mieć miłą kurację i pielęgniarkę zdatną.
- Zaśmiały się baby, on zaś rozochocony dodał:
- Nie dziwota, tyle czasu bez baby żyć, kto by to wytrwał!

Matejowa otworzyła usta, język stanął jej kołkiem. Oczy zastygły, zakrzuszyła się nagłą nienawiścią do listonosza i rozgadanych bab.

- A co my mamy rzec, też bez chłopów, co po świecie są, a nie bzikujemy? - mędrkowała jedna.

- Różne rzeczy dzieją się na świecie. Już tam Pan Bóg dobrze wie i wszystko widzi. A i was za świętą nie mamy, sąsiadko - jedna drugiej wymawiała grzechy.

- O laboga, Matejowa, patrzcie interesu! Ktoś chustkę porwał! - krzyknęła któraś, pokazując w kierunku furmanek za złodziejką.

Matejowa machnęła obojętnie ręką.

Rynek powoli opustoszał, jakby kto ludzi wymiółł. Pozostał bezład śmieci na zakurzonym placu, zatykającym gorącym dech w piersiach. Parowała rozfalowana, cierpka woń trawy wgniecionej kołami wozów w łajna.

„E tam, ludzkie kąsanie, gadanie...” - urwała Matejowa potok bolesnych myśli i zagarnęła szmaty. Nie czuła na plecach ciężaru tobołu. W domu zliczyła trochę zarobionych pieniędzy, potem przyrządziła późny obiad. Chodziła po izbie cała rozdygotana do samego wieczora.

- Kasiu, połóż Andrzeja spać! Idę do sąsiadki, wrócę niedługo.

- Już późno, a mama wychodzi.

- Nic tobie do tego! Powiedziałam, co masz zrobić i sama idź zaraz spać!

Lęk mieszał się w niej ze stanowczością. Po raz pierwszy okłamała dziecko, wyrosła obawa, że Kasia nie dowierza. Odczuła krępujący wzrok dzieci. Prawie wybiegła w ciemność, zapragnęła zostać sama z własnymi myślami. Stała na podwórzu, popatrzyła na wszystkie strony jak oślepa. Z podwórza prowadziła brzegiem skarpy ścieżka i zanim znikła wśród ogrodów, rozlewała się małą polaną, otoczona zbitym gąszczem akacji. Kiedyś Matejowie wysiadali tu wieczorami, wpatrywali się w niebo i odległe lasy. Poszła tam, choć na wspomnienie ból chwycił ją mocno za krtań. Legła, wtuliła twarz w zimną trawę jak w poduszkę i zapłakała, żaląc się na wszystkich, na cały świat.

Potężna kopuła nieba nabita była gęsto gwiazdami, z daleka dochodził turkot furmanek. Przejechał przed skarpe ze zgrzytem spóźniony pociąg. Światłami z wagonów rozdarł na chwilę w poprzek ciemności, przystanął na stacji, zasapał i zajechał za górę, postukując coraz ciszej, nierytmicznie jak kulas. Rozżaliło to Matejową, bo pomyślała, że ludzie wracają do domów, do rodzin, i poczęła żarliwie wołać swego Michała, jakby w modlitwie do jakiegoś świętego obrazu.

Myślami poczęła odbywać powrotną drogę wspólnego z nim życia. Odczuwała, że wierzy w niego, w jego otwartą, szczerą duszę, taką, co by na

dłoni położyć. Zapadała bezwiednie w coraz inne wspomnienia, uspokajała się, powtarzała szeptem:

- Oj ludzie, ludzie, co wy chcecie? - a potem już z rozwagą:
- Jaki to człowiek głupi. Byle co usłyszy, to przejmuje się zaraz.

Wróciła zaraz myślami do zagubionego gdzieś w świecie męża. - Co ja wycierpię przez tę twoją Amerykę! - szeptała.

Zapatrzyła się w migotliwe gwiazdy, te same, które świecą Michałowi, tylko pewnie nie o tej samej porze. Poczła ociążałość, zleniwiała, przeszedł ją dawno zapomniany dreszcz po ciele, skorym naraz do pieśczoł. Poszłaby za Michałem na koniec świata. Jak był przy niej, czuła się pewniejsza, choć nie był on żaden mocarz, ale świata się nie bał. Uczyła się kiedyś z lubością jego tęsknych góralskich piosenek. Radowała się nim, choć życie mieli podłe.

Po ciężkich krokach poznała, że jedną ze ścieżek wśród ogrodów szedł ku niej niezdarnie człowiek. Przylgnęła do ziemi, zapragnęła uniknąć spotkania z kimkolwiek.

Urban gramolił się z trudem na skarpe, ranił ręce, obłapując w ciemności sękatę sztachety płotu. Szedł instynktownie ku zagajnikowi akacji, sterczącemu na tle nieba jak czarna chmura. Wiedział, że w tym ustroniu kryła się nieraz ze swoim rozmyśleniem Matejowa.

Nie od roku śledził jej kroki, gibkość ciała. W oczy wrósł mu jej cień. Stał się niespokojny od grymasu jej nabrzmiątych ust i głębokich, czarnych

Długo wzbierała w nim miłość do Matejowej, czasem gubiła się, zapadała gdzieś głęboko w człowieka - uspokajał się. Potem nie dała mu już żyć. Po prawdzie to sam unikał Matejowej, bał się czegoś. Pojmował, że kocha ona swego Michała i odepchnie niezawodnie zalotnika.

- Co za niespodziewane spotkanie! Jak się nie boisz tak sama, Stefcu? To już prawie noc. Prawda, że przyjemnie w taki wieczór? - w głowie miał przestraszającą radość. Siadł na ziemi, naprzeciwko Matejowej.

- Od kiedy ja dla pana „Stefcia”, krów nikomu nie pasłam! - rzekła rozgniewana.

- Przepraszam, taki to zwyczaj między sąsiadami mówić po imieniu.
- Jacy my tam sąsiedzi - rzekła i wstała do odejścia.

Urban uniósł ręce, zagroził jej drogę. Odezwał się spokojnie:

- Nie sąsiedzi? - zdziwił się. - To niech będzie, ale dobrzy przyjaciele. Z Michałem żyliśmy w dobrej komitywie, nie zaprzeczy pani.

Siadła dotknięta jego jakąś żalną wymówką. Nie wiedziała, co począć. Nie chciała urazić Urbana. Zamilkli. Jednym okiem patrzyło na nich z daleka

mocne, czerwone światło semaforu. Szukała jego blasku między drzewami, wydawało się jej, że zamyka drogę do czegoś.

Chłód orzeźwiał, wytrącał z pragnienia snu. Cisza była zupełna, zaczęli znowu mówić półgłosem.

- Od kieliszka chyba serdeczni, bo od czego?

Pan mieszczanin, co tam Michałowi do pana.

- Myśli pani, że dorobiłem się, tom z innej gliny.

- Pewnie, kamienica, wyszynk to bogactwo, a mój co? W świecie marnieje. Pożyczył pan Michałowi na drogę pieniędzy, sprawiedliwie trza powiedzieć, ale procenty rosły jak na drożdżach, dopóki Michał nie spłacił wszystkiego.

- Miał z czego i należały się.

- Miał z czego, a teraz nie może się wylizać z tego przeklętego choróbka - westchnęła. Odwróciła głowę na bok.

- Zdrowy to on jest. Takiego jak Michał to i trutką z trupią czaszką nie położy.

- Musi mu być źle, kiedy z jego pisania nic wesołego człowiek nie wyczyta - głos jej drgnął. Wróciła myślą do tego, co listonosz i baby na jarmarku mówiły.

- Michał to pewnie już w słomianym kapeluszu parady. Podobno tam taki zwyczaj. Musi mu być w tym ładnie, a laską ze srebrną główką wywija pewnie każdej babie przed oczyma. Kto by się tyle trapił tym wszystkim, żył jak pokutnica?

- Głupstwa pan plecie. Bieda jak się do człowieka przyczepi, to jak rzep na psich kudłach przylgnie i prześladowuje całe życie.

- Kiepski ja przyjaciel Michała, kiedy nie pomyślałem o waszej biedzie. Kiepski - dodał po chwili z uśmiechem.

Nogi miał podciągnięte pod siebie, ręce wsparł na kolanach pod brodą. Oddychał głęboko, wpatrywał się natrętnie w Matejową.

- Już noc, a ja tutaj! Jezus Maria, co ja robię?

- zerwała się, straciła równowagę. Urban chwycił ją wpół, szarpnęła się i niemal potoczyła po skarpie w dół. Parowem pobiegła ku domowi.

- W ciemności rozlegało się pokłapywanie butów.

Urban wyciągnął się na spłaszczonej, zwichrzonej trawie, ni grożąc, ni chichocząc wybełkotał:

- Musisz być moja, ty łasico, musisz! Następnego dnia stanęła Matejowa przed domem i patrząc przed siebie pomyślała, że to już koniec gorącego lata i nadejdzie czas jesiennego ziąbu, a potem nieludzkiej zimy.

Za rzeką ciągnęły się na polach w równych rzędach kopy zboża.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w stronę odległego rynku, którego brzeg widoczny był ze skarpy na końcu ulicy, między piętrowymi kamienicami.

Pod skarpa, przy studni przylepionej niemal do grubego pnia lipy, w rozwidleniu ulic stał nosiwoda Król i tarmosił wiadrami. Niezdarny już był, przecież najstarszy w mieście wśród całej gromady wodziarzy. Wystawały mu pałakowate plecy. Łachmany upstrzone latami, wyszarzałe zwisały bezładnie na jego chudym, drugim cielsku. Na ramiona kładły mu się wygniecione bruzdy od szelek niby epolety starej gwardii nosiwodów.

Matejowa zeszła w dół. Król jakby nie dostrzegając jej, poczłapał do rynku, w połowie drogi przy - stanął, zakaszłał, po długiej chwili wrócił znowu. Podzwanianie blaszanych wiader i postukujące o bruk drewniane szelki Króla były tu przez długie godziny jedyną oznaką życia w cichym mieście.

Matejowa, widocznie, aby nie unosić głosu, podeszła do studni i zapytała nosiwodę:

- Nie chodził jeszcze listonosz z pocztą?

- A nie - nie unosząc głowy Król napełniał wiadro. Matejowa stanęła na środku gościńca, patrzyła w stronę miasta.

- Na list od męża pani czeka - rzekł przez sito zębów.

- Na list - przytaknęła z niechęcią.

- Nie pisze Mateja - rzekł Król bezceremonialnie, jakby był tego pewien,

Wyprostował się, wlepił w nią oczy. Nie chodziło mu o odpowiedź.

Matejowa przez chwilę wpatrywała się w jego kościstą twarz, pocentkowaną śladami skórnej choroby. Spuściła oczy. Król jakby pojął ból kobiety, nie odezwał się więcej nie znajdując w sobie lepszych, rozumnych słów, bo i jakich. Skrepowany rozpoczętą rozmową siadł na studni, zgiął się ku ziemi. Zerkał ukradkiem na kobietę. Aby wyglądać jakoś do ludzi począł przygniatać z uporem rozwichrzone, krótkie włosy. Był też i on kiedyś w Ameryce, nie wyglądał jak teraz.

- Byłem w tej Ameryce, byłem. Inny to świat. Ale cóż, wróciłem na koniec i do czego? Żona zostawiła dzieciśka i poszła na suchoty na tamten świat - mówił jakby do siebie.

- Po co wam było jechać? Pewnie, dolary ciągną ludzi jak magnes - łyzy załśniły w jej oczach.

- Robota tam inna, zaprzęgają ludzi jak konie do dyszla. Ale jak pieniądze są, to człowiek wie, że żyje.

- A tu człowiek męczy się, chleb za te dolary gardłem nie może przejść.

- Nie bluźnijcie, Matejowa, podziękujcie Bogu. Niechby już tylko były te dolary, a zdrowie przy tym. Ho ho! - Po namyśle dodał: - Miałem ja tam zostać w New Jorku, nie wracać, bo i po co. Ale jak było nie wracać między swoich? Okrutnie, psia mać, być z daleka od kraju!

Nagle przypomniał sobie o wiadrach, podniósł je z myślą o zarobku, z uwagą, aby nie uронić ani jednej kropli ciężkiej wody.

Matejowa przełykała lepkie łzy, patrzyła za Królem, myśląc z żalem o Michale, o jego i swojej tęsknocie. Myślała o tym co dnia, przekonywała się tylko, że zacierają się w jej pamięci rysy jego twarzy, i to wprawiło ją w ogromny lęk. Tylko wtedy, kiedy rozczytywała się w jego listach, miała Michała przed oczyma jak żywego.

Mateja nie pisywał już przez długi czas.

Pod wieczór słońce rozczzerwieniało na zachodzie, zbierało się na pierwszy, chłodny wiatr. Wozy - ociążane od snopków - rozpychały się z chrzęstem w wąskich uliczkach.

Kasia wróciła z folwarku ze żniw czując piekący ból w całym ciele. Zarobek nie cieszył jej tak jak myśl o bliskim już wyjeździe do Krakowa na służbę. Po kilku dniach szła na stację z małym tobołkiem, a matka prawiała jej całą drogę morały, co dziewczynę gniewało. Matejowa, tłumiąc ukryty lęk o Ka - się, z bólem myślała o otaczającym ją osamotnieniu. Wspomniała dzień wyjazdu Michała, bo pociąg był jakby ten sam, z brudnymi szybami, o krótkich czarnych wagonach, lokomotywa zagrzmiała parę razy tym samym świstem, ten sam człowiek z czerwoną czapką dał sygnał i pociąg odjechał z Kasią, z tym samym ciężkim dudnieniem, jak kiedyś z Michałem.

Zycie Matejowej wlokło się odtąd w coraz większej ustawicznej rozpacz. Unikała świata i prawdy o Michale, przestała mówić z ludźmi, zapracowywała się, aż pewnego dnia jak opętana wrzasnęła nad jasną głową pochylonego Andrzeja:

- Wynoś mi się z tymi zabawkami z domu, nie chce nic od niego!

Porwała z podłogi drewniane koniki, pomalowane pstrokato, i wyrzuciła martwe stworzenia przez otwarte okno. Był to prezent od Urbana dla jej dziecka.

W duchu wymyślała Wacławowi: „Nie chcę nie od niego, opętać mnie chce jak zły duch!” Przysięgała zapalczywie, że nie wpuści go więcej za próg swego domu. Nie pomyślała nawet o tym, co ludzie powiedzą, że wieczorami zachodzi do niej, przynosi czasem mięso, przygadując ze śmiechem: „aby pachniało w izbie rosołem”. Od pewnego czasu sposepniał, zaciskał zęby, aż

wybawiały mu się szczęki na czerwonej twarzy. Błyszczącymi, zielonymi oczami patrzył po izbie niespokojnie, bo Matejowa odpychała go od siebie z groźbą i wyrzutami. Wtedy przychodził coraz rzadziej, jakby coś zamyślał.

Na wiosnę, w kwietniowe dni i wieczory, oddech rozkutej z mrozu ziemi, nagrzanego słońcem, stawał się ciepły, obezwładniał. Zapachniało świeżą zielenią.

Matejowa ani się spostrzegła, że świat nie jest dla niej zamknięty, obcy. Otrzymywała listy od Kasi, przedstawiała sobie jej życie nie wiadomo czemu jako niecodzienne, barwne. Bo też Kasia opisywała pracę na służbie, a potem we fabryce, ludzi, miasto, upiększając wszystko dziewczęcą wyobraźnią. Oczyma jej poczęła Matejowa spoglądać wokół siebie, na czerwieniejące dachy domów, na zieloną powierzchnię spokojnej rzeki i pocięte miedziami pola, na małomównych przechodniów. Nawet proboszcz nie wydawał się jej tak groźny jak dawniej, kiedy patrzyła na niego w kościele, ukryta za filarem.

Niebieskawy cień schodził leniwie z okien, aż ściemniało od wiosennej nocy. Stary, połatany dom na skarpie milczał jak pustelnia, nie drgał, bo noc była bezwietrzna.

Matejowa nie kładła się spać. Siedziała ociężale na łóżku w pokoju, drżała jak osika od dokuczliwego osamotnienia. Trzymając palec prawej ręki, na którym nosiła ślubną obrączkę, zatrzymała się w liczeniu, kto pozostał w jej życiu, jakby jej pomyłono rachubę. Zaprzątnięta nadmiarem myśli nie słuchała odgłosu kroków, zataczającego się łukiem wokół domu, dochodzącego od ogrodu.

Urban szarpnął uchylone okiennice, skoczył na niski parapet okna. Matejowa zerwała się i siadła bezradnie jak odepchnięta, bo Wacław stał już na środku izby. Nie dał jej zapalić lampy, siadł obok niej w ciemności. Ogarnięta przerażeniem nie słuchała jego gorącego szeptu, traciła głowę, czuła się przy nim bezbronna. Zadygotała w żelaznym uścisku jego rąk, załkała, broniła się w beznadziejnym zmęczeniu. Zapadnięta w ramiona obcego mężczyzny wymawiała spiekłymi wargami imię Michała.

Ciemny granat nieba odchodził z każdym dniem coraz wcześniej na zachód za miasto. Matejowa co noc patrzyła za schodzącym ze skarpy Urbanem.

W głowie miała ogromny zamęt.

## VII

W czerwcową niedzielę, przed ostatnią mszą szli ludzie tłumnie do domu parafialnego, stojącego za kościołem. Budynek był świeżo otynkowany, aż jaśniał obok surowych, burych murów gotyckiej świątyni. Głównym wejściem przepychali się mieszczanie, bocznymi drzwiami wiejskie baby, służące, wielu mężczyzn, którzy mieli porachunki z duszpasterzami o spowiedź, trochę krzykliwej młodzieży.

Matejowa weszła z pośpiechem bocznymi schodami.

Ciasnota w pochyłej ku scenie sali wyciskała z ludzi siódme poty. Zgęstniałe powietrze skwaśniało od zaduchu i gorąca, choć cień lip przysłaniał okna domu przed żarem przedpołudniowego słońca.

Na środku małej sceny stał fotel obity czerwonym pluszem, po bokach wielobarwna dekoracja po niedawnym przedstawieniu. Na przednich miejscach rozmawiano wstrzemięźliwie, z tyłu brzęczący, doniosły gwar panował nad myślami zebranych.

Proboszcz Kwiatek wszedł na scenę w asyście wikarego, burmistrza i dzwonnika. Przepasany był czerwoną szarfą na znak, że w hierarchii kościelnej był prałatem. Ludzie ucichli, ale szmer w tłumie nie ustawał, każdy prorokował, o czym to będzie mówił proboszcz. Zbierał on często parafian w tym domu, bo na ambonę z kazaniem nie mógł wychodzić, słowo boże spletał ze sprawami i kłopotami administratora parafii.

Ksiądz czekał, aż tłum umilknie zupełnie. Patrzył na salę ospałymi oczami, fałdy brody wspierały mu się na kołnierzu sutanny. Głębokim zamyśleniem wprawiał każdego w roztargnienie. Ludzie rozprawiali, jakby pragnęli wyprzedzić myśli proboszcza - o porwaniu dzieci przez Żydów na krew, o kochance miejscowego lekarza, o tym, że zgłodniałe dziecko Kozakowej zmarło w tajemniczych okolicznościach.

- Moi kochani parafianie - ksiądz zaczął mówić basowym głosem. Początkowo zacinał się, potem mówił płynnie. Pewny tego, że maryjność była jedyną drogą współżycia rokitniczan z łaską bożą, bo czcili oni gromadnie Maryję, zaczął niezliczony już raz wspominać o niej i wołał do dziewic i kobiet o ideał czystości i piękna. Aby była ona dla nich pomocą w chwilach pokusy, zaś dla rodu męskiego pośredniczką zbawienia, dla biednych wzorem ubogiego i cichego życia. - Boleje, moje dzieci, że niewiele rozumiecie z treści prawdziwego kultu Maryi, nie naśladujecie jej, nie adorujecie jej

czynem! - zasapał się, przerwał długi potok zdań dla odważenia ilości i jakości wypowiedzianych myśli.

- Wielki to był cud przed wiekami, kiedy za wstawiennictwem Maryi spadł ognisty deszcz na hordy tatarskie, plądrujące nasze miasto i domy naszych pradziadów. W miejscu, gdzie dzisiaj stoi kaplica pod lasem, wyginęły masy tych dzikusów bezbożnych. Wielka jest moc Maryi, ale biada jawnochrześcjanom i rozpustnikom! - Jednym tchem wysoko uniósł głos, ręką wskazał ku powale jakby dla przypomnienia, gdzie są niebiosa łaskawe i karzące. Poczerwieniał, ludzie wstrzymali oddechy. Ściemniało nieco, bo słońce zaszło za strzelisty dach kościoła ku zenitowi nieba.

Matejowa stała wsłuchana przy końcu sali pod ścianą. Na dźwięk groźby zatrzęszy się pod nią kolana, krew uderzyła jej do głowy i zbiegła do ścierpniętych nóg. Wydało się jej, że proboszcz popatrzył na nią, że ludzie znają całą prawdę. Zapragnęła zapaść się pod ziemię.

- Życie zabłąkanych w ciemnościach jest pełne brudu i nieprawości. Pełne krzywdy dla naszych najbliższych, żyjących z dala, na obczyźnie!

Matejowa skuliła się w sobie, zdrętwiała pochylona jak człowiek okładany pięściami. Tłum stał w milczeniu. Ludzie poruszali powiekami, jakby patrzyli na jakieś dziwo.

W parafii było wiele rodzin emigrantów, bieda wyгнаła ludzi z kraju, jak wyrodna matka wypędza z domu dzieci na żebry.

- Wiadomo - rzekł zmęczonym głosem - jesteśmy krajem przeludnionym, a dzieci za łaską bożą rodzą się i rodzą. Metryki na to wskazują. Na wsi ludzi za wiele, jadą więc nasi bracia za ocean. Muszą tułać się dla zarobku, i dobrze, że jadą!

Baby w tyle poruszyły się, przez salę przeszedł pomruk.

- Bo widzicie, moi kochani, przysyłają pieniądze do kraju. Przysparzają tym wiele ojczyźnie i rodzinom swoim. Nasi ojcowie i bracia nabierają tam doświadczenia, poznają kulturę innych narodów, zmniejszają bezrobocie u nas. Kościół święty, nasi polscy kapłani otaczają ich tam opieką duchową, moralną. A my tutaj wejrzyjmy dzisiaj do własnych serc. Bijmy się w piersi w pokorze i jak przed świętą spowiedzią zróbmy rachunek sumienia! - rzekł natarczywie. Ludzie pochyłili głowy, stali jak zakłęci.

Matejowa chwyciła się za głowę, coś mamrotała.

- Zesłała - szeptała. Rozsunęły się baby. Matejowa przepychała się ku wyjściu ociężale. Spozrzegła Urbana. Stał niemrawo z wybałuszonymi oczami.

W domu wyciągnęła się na łóżku jak bez życia.

Ocknęła się na przytłumiony dźwięk dzwonu, ludzie szli na nieszpory. Wstała z trudem i poszła na popołudniowe nabożeństwo. Nie modliła się, nie miała na to sił. Z dusznej ciżby wyszła na cmentarz. Ciepłe promienie zachodzącego słońca przedzierały się przez sito drzew. Zapowiadało się na ładne lato.

Matejowa stanęła obok żelaznej furtki, oparła się o drzewo. Z kościoła wychodziła procesja, popatrzyła z bojaźnią na monstrancję. Spostrzegła Wacława, niósł świątobliwie baldachim, śpiewał gromko. Skrzywiła w grymasie twarz. Uklękła na skrzypiącym żwirze, przymknęła oczy, słuchała żalosego śpiewania. Uniosła znowu zmęczoną twarz na księdza, pragnęła modlić się, śpiewać z innymi. Głos ugrzęzł jej w gardle, poczęła szeptać:

- Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna - plątała modlitwę, powtarzała: - Módl się za nami grzesznymi... - a potem: - odpuść nam nasze winy - bezładnie, bo śpiew i dzwonienie kotłowały się pod gęstym wieńcem rozłożystych lip. Mchem porośłe mury zagradzały miejsce cmentarnej beznadziei.

Procesja szła wokół kościoła, ale Matejowa po - wlokła się na ulicę, potem pognęła ku domowi, szepcząc coś głośno do siebie.

Rynek był pusty, w ulicy dobiegło ją wrzaskliwe wołanie. Obejrzała się i zobaczyła straszliwe oczy wdowy Woźniakowej.

- Matejowa, o ty szelmo, uciekasz, czego się boisz?... Ale ręka boska dosięgnie cię, już cię chłop porzucił... to za moja boleść, za śmierć mojego Józka.

Wyczerpana legła Matejowa pod ścianą domu na glinianej przyzbie.

Na wołanie Andrzeja otworzyła szeroko oczy jak ze snu.

- Idź spać, idź spać - powtarzała, chcąc uniknąć świadków swojej rozpacz.

Wpatrzyła się w odchodzącego syna, potem wstała i poszła na cmentarz.

Wysmukłe topole sterczały wkoło. Zapadnięty w trawie grób jej matki ledwo wystawał garbem.

Potykając się po pochyłości cmentarza, gorączkowo rozglądała się.

Zdyszana przypadła do ziemi, płacz począł plątać się jej z wołaniem: - Mamo, mamo!

Dziwny zrazu wydawał się jej ten krzyk, bo matka zmarła nie wiedzieć, kiedy, dawno. Nie pamiętała ani jej twarzy, ani dobroci. Poczuli się teraz bezsilna i wołała jak dziecko.

Oschły chłód grobu rozchodził się jej po twarzy, nie przerażał, gorączka nie ustępowała z ciała. Szeptała jak bez rozsądku:

- Weź mnie do siebie, weź. Wytchnienia chcę, wytchnienia.  
Uniosła się i siedząc na grobie liczyła inne, szeptała: - Tyle tu ludzi, tyle spokojnych.

## VIII

Kasia Matejówna niemal biegła od samego Ludwinowa. Zdyszała się od pragnienia, aby zdążyć na drugą stronę Wisły na czas, przed zapadnięciem zmroku.

Wyrosła, nabrała zdecydowanie ładnych, spokojnych rysów twarzy i była podobna tym do matki. Jasność spojrzenia miała po ojcu.

Rozglądała się po niebie zgadując, czy sierpniowy wieczór wyprzedzi ją. Mdłe barwy ciepłego nieba i lekki powiew wiatru wlokącego się za nią od strony kopca przypomniały jej, że od roku jest już poza domem. Nie mogła wiele myśleć, boleśnie przeszło jej przez głowę, że matka dawno nie pisała. Za mostem osłabła, potrącana przez przechodniów zwolniła kroku. Szła załamaniem wału rzeki ku czerwonym murom Wawelu.

Chodziła tą drogą często z domu Kozdrunia, u którego mieszkała kątem już niemal cały rok, do mieszkania rodziców Staszka Mazura. Znała każde zagięcie ścieżki, osłuchwała się z lekkim szmerem Wisły. Wawelski zamek pozostał dla niej tajemniczy, wspaniały swoim ogromem, wyglądał zawsze jakoś inaczej, niby dziewczyna zmieniająca kolorowe stroje.

Z nietajoną uciechą patrzyła ludziom w oczy, myślała o nowym spotkaniu ze Staszkiem, zaniepokojona od dawna jego czarnymi oczami i dźwięcznym głosem. Przysyłał jej pozdrowienia przez swoją matkę, z którą pracowała od wiosny w jednym oddziale fabryki.

Kasia z przyzwyczajenia, a może z nieświadomości, nie troszczyła się o niebezpieczeństwo przenoszenia do Mazurów pliku ulotek, dawanych przez Kozdrunia. W domu wczytywała się w „lekturę”, słuchała Kozdrunia z uwagą, śmiejąc się tylko, że mówi jak ksiądz na kazaniu, ale nic o świętych, tylko o biednych i bogatych.

W ciemnoszarym masywie domów żarzyły się już światła idące jej naprzeciw jaskrawymi smugami wśród drzew plant.

Z przeciwległej strony ulicy i za nią opustoszało, pozostał niepokojący odgłos jej własnych kroków. Nagle na tle bramy do mieszkania Mazurów

zamajaczyły jej dwa czarne mundury. Stanęła jak wryta w ziemię, przylgnęła na chwilę do ściany domu i za - wróciła. Zrozumiała, że stało się coś złego. Ostre wołanie policjantów zbliżało się za plecami do niej i do ciemnego brzegu Wisły.

## IX

Na drewnianym moście od Rokitnicy zadudniło, zaklekotały rozluźnione belki. Wóz przejechał z widocznym pośpiechem i wpadł na godowski gościniec. Lekka chmurka kurzu wlokła się za nim niby kita lisiego ogona. Znowu ucichło, rechotały z rzadka żaby w nadbrzeżnych bajorach.

Wstęga Wisłoku szła leniwie z góry, od miasteczka, pozostawiając całą masę zabudowań na lewym brzegu rzeki. Jaśniały na wzniesieniu ściany domowisk, utkane wyblakłymi, żółtawymi światełkami naftowych lamp. Nad konturem miasteczka strzeliście ku gwiazdom wznosiła się wieża kościelna.

Jasność zalewała kotlinę, rozpychała na boki niewysokie pogórze, pobieliała lasy. Pola i pastwiska wydłużyły się. Ogrom światła toczył się po rozległy, podniesiony ku sklepieniu nieba horyzont.

Chłód bil od wody. Zwisały nad nią po obu stronach szczątki kamiennego mostku, sterczało połamane żelaziwo. W piętnastym roku dogodzili mu Austriacy. Dołem kładła się masywna płyta kamienna i tworzyła mały jaz. Woda szemrała, migotała blaskiem.

Na wystającym kamieniu płyty czaiła się skulona w bezruchu nad wędką postać rybaka. W wodzie leżała rybacka krypa, wsparta o kamienie, wetkniętym dziobem między pale podtrzymujące drewniany most. Na dnie łodzi ryby połyskiwały srebrzystymi brzuchami.

Nagle potężnie klasnęło. Woda zachybotwała. Za - bulgotało na środku rzeki. Kręgi w jakimś niesamowitym pośpiechu rozbiegły się po powierzchni, gnaty do góry, kryły się jakby przerażone pod brzegi, mlaskały, liżąc belki. Hajduk zerwał się na równe nogi, odwrócił się za siebie, pośliznął w przestkach.

- Ki diabeł? - szepnął i bez namysłu rzucił się do wody, tak jak stał, w ubraniu. Brodził po szyję pod mostem, ruchami rąk rozgarniając na boki nadpływające fale. Zanurzył się parę razy. Wyciągnął z wody człowieka. Wywłókł go na płytszą wodę, dźwignął na ramię bezwładne ciało. Podeszedł do łodzi, nastękał się, zanim przerzucił topielca do krypy. Wygramolił się sam

z trudem, nie odczuwał w tym pośpiechu ani zimna, ani wilgoci. Począł przeciągle wrzeszczeć, jakby go kto ze skóry obdzierali.

- Hop hop! Ludzie, pomocy! Topielec!

Echo kotłowało się między obeliskami, włąziło w każdą szczelinę, powracało. Wlokło się po brzegach nad wodą. Kamienny czerep mostu odpowiadał „leć!”. Żadnych więcej odgłosów.

- Ratunku!

Przyłożył dłonie do twarzy, odwrócony ku miasteczku trąbił jak na alarm. Wzrokiem szukał ludzi. Obejrzał się za siebie. Nad pastwiskami, na wysokiej skarpie migotało za rzeką światło we dworze. Obchodzono jakąś fetę rodzinną. Dziedziczka kupiła u Hajduka rano parę kilo świeżych ryb.

Silnymi odbiciami żerdzi dobił do brzegu. Nadbiegł z nasypu gościńca Ciurek, pastuch gminny z pobliskiej rogatki. Sapiąc przytoczył się stróż rzeźni miejskiej. Mamrotał coś pod nosem, jechało od niego wódką. Potrzęsali topielcem, wymachiwali rękami, przewracali głową w dół.

Coś beknęło w babie. Trupia twarz, oblepiona czarnymi włosami poganiała ich. Ostrzem kozika rozwarli usta, rozgrzewali ciało. Szamotali się długo. Ciurek rozłożył na trawie płaszcz znaleziony przed chwilą na poręczy mostu. Wyciągnęli na nim ociężałe ciało. Zza małej płachty chmury ukazał się księżyc.

- Matejowa! Chłopy, widzicie? Matejowa! - wykrztusił Hajduk. Tłumił jazgot rozdygotanych szczęk. Przestraszył się własnego głosu. Wyciskał każdy skrawek ubrania, woda uporczywie ciekła. Miał już spłynąć wodą w dół rzeki, pod mostem ryba nie brała. Coś go zatrzymało, przykuło do kamienia.

„Byłoby po niej”, pomyślał. Radość rozpierała mu pierś.

Podnieśli na rękach Matejową przez targowisko, pod most kolejowy, do domu. Szli krok za krokiem, powoli, w milczeniu.

Matejowa wyciągnięta na łóżku na chwilę ocknęła się:

- O, Boże! Jestem potępiona! Ratujcie, ludzie, mnie grzesznicę... - wymamrotała urywanym szeptem.

- Spokojnie! Nie robić alarmu, już nie potrzeba.

Zrobiło się, uratowalim. Żyjecie, chwalić Boga - z wymówką odezwał się rybak.

- Moje życie... - westchnęła Matejowa. Okryli ją, popatrzyli na siebie i wyszli z ciepłej izby na przejmujący do szpiku kości nocny chłód. Miasteczko spało, wstrzymało oddech.

Matejowa chorowała długo i ciężko. Najgorzej było nocami w gorączce. Majaczyła, rzucała się na łożku, bełkotem rozprawiała się z bólem, utajoną krzywdą, ciężarem życia. Z trudem unosiła ciężkie od gorączki powieki, raziły ją promienie porannego słońca, budziła się nocami od walącego o dach chałupy deszczu. Z dnia na dzień przybywało jej sił. Zbierała myśli, rozrzucone niby jesienne liście przez wiatr. Mateja nie pisał. Kasia utonęła gdzieś w świecie. Wacław nie pokazywał się na oczy. Andrzeja wzięła do siebie sąsiadka, stara Wieszczkowa. Zachodziła co dnia do Matejowej doglądać jej, podać strawę. Nie mówiła wiele na to wszystko, jak to stary człowiek, który niejedno widział i sam przeszedł w życiu niejedną zgrzyotę.

Dźwigała się Matejowa na łożku, klękała co dzień na środku zapadniętego siennika, wyciągała zgrzebne prześcieradło, aż porwana chłodnym dreszczem przykrywała się pośpiesznie. Myślała uparcie o całym swoim życiu, wodziła bezustannie palcami po brzegu kwadratowej, żółtej łąty na derce. Zza przezroczystej skóry wychudłych rak przezierały jej sine, nabrzmiące żyły.

Pewnego wieczoru ledwie dosłyszała, że zaskrzypiały drzwi. Nieznajomy mężczyzna stanął w progu. Ogarnął wzrokiem izbę, wpatrzył się na chwilę w Matejową. Był średniego wzrostu, młody, twarz miał śmiałą, bladą, jakby padł na nią odblask schorowanej kobiety.

- Dzień dobry! - pozdrowił krótko.

Matejowa wpatrzyła się w obcego, odpowiedziała:

- Dzień dobry.

Przyglądali się sobie.

- Pani mnie nie zna, ja z Krakowa.

- A nie, nie znam ludzi.

- Ja do pani, pani Matejowo. Z wiadomościami od Kasi - rzekł spokojnie.

Matejowa patrzyła nieruchomymi, bez wyrazu oczami, wydłużoną jej twarz otaczały zwichrzone włosy. Nie drgnęła ze zdziwienia.

- Moja córka, moja. Przyjedzie może dzisiaj, niech pan siada.

Obcy człowiek siadł, przejęty nagle złym przeczuciem. Począł z uwagą oglądać każdy szczegół izby. Muchy brzęczały, kąsały zajadle.

Czerwonożółty blask słońca schodził z powały i okien.

Szarzało.

Nieznajomy spojrzął przelotnie na Matejową, jakby chciał odgadnąć jej tajemnicę, zanim zapadnie w izbie mrok. Zrozumiał, że leży ciężko chora. Począł opowiadać spokojnie; dziwnie pamiętał każdy szczegół życia Kasi.

Objaśniał cierpliwie każde zdarzenie, patrzył po kątach izby, jakby szukał śladów rak tej dziewczyny.

- Moja córka, moja... - szeptała czasem Matejowa. Potem zasnęła twardo. Wstrząsała się tylko chwilami od kaszlu.

Obcy wyszedł przed dom, zimno oblepiło mu twarz, tylko krew krażyła gwałtownie, pulsowała w skroniach. Stał wsparty o płot, jak człowiek oszukany przez zły los.

„Postradała rozum kobieta, czy co?” - pytał sam siebie nic nie pojmując.

Noc była zła, pełna szamotania. Dopiero nad ranem zasnął wciśnięty w kąt strychu z postanowieniem, że wyłuszczy całą prawdę o Kasi, o jej więzieniu.

Zbudzona rano Matejowa rzekła obojętnie do obcego:

- Nie ma Kasi, nie przyjechała.

Nieznajomy stanął na środku izby.

„Ona umrze” - pomyślał.

Po chwili szepnął:

- Przyjedzie Kasia, przyjedzie.

Świt listopadowy wstał już spóźniony. Ranny chłód był przejmujący, ziemia zaschła twardo od przedwczesnych przymrozków.

Drogą do Domaradza szedł chyłkiem obcy człowiek. Oglądał się za siebie, przystawał. Lepka mgła ociężale przewalała się przez brzegi rzeki. Wynurzały się z niej gołe, grabiaste gałęzie drzew. Skulony, przypadły do ziemi, przemoknięty, pobielony szronem majaczył w oparach dom na skarpie.

1954 r.